

Wieczory Rodzinne

Nr 29

DZIAŁ DLA DZIECI

18 Lipca 1914 roku.



Dudek.

O BOCIANKU

Zdarzenie prawdziwe.

Na Ukrainie żyli w przyjaźni dwaj cioteczni bracia, zarek dziesięcioletni i ośmioletni Karolek.

Ponieważ Cezarek był sierotą, więc rodzice Karolka, w pełności zajęli się wychowaniem swego siostrzeńca umieszczając w własnym domu.

Do usług obaj chłopcy, mieli o rok starszego od syna włościanina imieniem Adasia, z którym dzielili na zabawy, ale chętnie uczyli go tego, co sami umieli. Adas pojętny i sercem całym do swoich młodych panów wiązany.

W majątku tym na dachu stodoły, rok rocznie gnieździły się bociany, które z wiosną zwykle powracają do tych samych miejsc gdzie miały swoje gniazda i gdzie młode pokolenia się wylęgły.

Ale bociany mają dziwne zwyczaje. Otóż: jeżeli nad liczbę naznaczoną wykluje się bocianiątko, wtedy nielitośnie rodzice wyrzucają je z gniazda.

Tak też stało się i w roku tym w którym miało miejsce zdarzenie tu opisane.

W chwili kiedy na śmierć skazany bocianek, wyrzucony był z gniazda, przechodził tamtędy Adamek i widząc biedne ptaszę wypadłe na siano, które leżało pod stodołą, ulitował się nad niebożątkiem, podniósł i zaniósł do dworu.

Ucieszeni chłopcy postanowili zaopiekować się nieopieczonym, słabym ptakiem. Urządzili mu na ganku, który był przy ich pokoju gniazdo z gałęzi i siana na podobieństwo jakie mają bociany, karmili glistami, młodem żabkami, ziarnem, coraz to nowe wymyślając dla niego przysmaki.

Bocianek rósł ślicznie, skrzydła jego stawały się coraz silniejsze, dziób się zaostrzył, a coraz to silniej przyuczał się do lotu. Przyzwyczał się też wielce do chłopczyków, znał ich po głosie na zawołanie, „bociuś, bociuś“, przybiegał jak piesek. W pokoju zjadał wszelkie dokuczliwe owady, i różne figielki, co wielką było uciechą dla jego wychowawców.

Skoro się skrzydła wzmocniły, począł odlatywać, pewną przestrzeń od dworu, czem nieraz bardzo zatrząwał chłopców, skali jego powrotu niecierpliwie, w obawie że nie powróci. Tak wierny wychowaniec powracał zawsze, upominając się o siatek, który już zwykle zastawał gotowy.

Cezarkowi przyszła myśl, iż dobrze byłoby bocianka namówić i w tym celu umyślił aby mu nóżkę jedną obszyć skórą, której byłoby napisane skąd pochodzi i do kogo należy. Tak też uczynił. Skoro nadeszła chwila odlotu bocianów, gdy bocianek już jako silny i dorosły, wzbił się w obłó-

ki, otoczyła go cała gromadka bocianów które z wielkim klekotem rzuciły się na młodego bocianka, a owa noga oszyta w skórę budziła w nich zdziwienie i jak się zdaje niezadowolenie.

Trzej chłopcy wybiegli przed dom w wielkiej trwodze. Cała ta przygoda działa się na małej łączce za ogrodem, patrząc na niezadowolenie bocianów, truchleli z obawy że cała gromadka ptaków, gotowa rozdziobać ich ulubieńca. Lecz co czynić, strzelać niepodobna było, gdyż wiadomo że ptaki te podrażnione, gotowe się rzucić na człowieka wtedy, kiedy się czują silne w tak liczmem towarzystwie.

d. c. n.

Marja Kaczkowska.

Módl się.

Człowiek jest stworzon na chwałę Boga
 Módl się doń przeto dziecino droga!
 Świat cały stworzon ku Bożej chwale
 Słońce dlań z wyżyn świeci wspaniale,
 Chmurki dlań płyną przez dal błękitną,
 Zbroje dlań szemrzą i kwiaty kwitną,
 Złocą się łąny i szumią drzewa,
 Wśród róż kwitnących słowik dlań śpiewa,
 Cały chór stworzeń do Boga woła
 Choć Go dosięgnąć, pojąć nie zdoła,
 Zaś my co Boga czcimy i znamy
 Czy dość Go wielbić, kochać zdołamy?
 Gdy więc poranna zorza zaświeci
 Niech myśl twa pierwsza do Boga wzleci,
 Jak ów skowronek co z piosnką z rana,
 Wzlata pod stopy Ojca i Pana!

Więc módl się, dziecię, więc złóż rączęta,
 Bóg o pobożnych dziatkach pamięta,
 Błogosławieństwa otacza swemi,
 A łaska Boża zawsze jest z niemi!

Ada Koneczna.

Niezapominajki.

(Dokończenie.)

Zaprzestały opowiadania swego niebieskie kwiatki, zbudziła się Janinka, przetarła zdumione oczy i cała przejęta wrażeniem niezwykłego snu pobiegła opowiedzieć go mamie.

— Śliczny sen miałaś Janinko,—odparła na to mama,—a więcej nic ci nie rzekły niezapominajki?

— Nie mamusiu,—odpowiedziała z namysłem córeczka.

— O, bo te kwiaty miluchne dużo mówić mogą, samym wyrazem chociażby nie zapominaj,—mówiła w dalszym ciągu mama.

— Jakto?—zapytała niedomyślnie Janinka.

Mama odrzekła: Gdy spojrzysz na ich modre oczęta wypowiedzą ci niemi z pewnością: nie zapominaj być dobrą, pilną, obowiązkową dziewczeczką. Nie zapominaj jak pracować należy, aby się stać użyteczną w społeczeństwie. Nie zapominaj o niczem korzystnem czego się nauczyć można i jak kochać bliźnich...

— Nie zapomnę,—przerwała wykrzyknikiem Janinka,—pamiętać też będę i o śnie z którego się dowiedziałam o powstaniu nazwy niezapominajek.

Kwiaty te odświeżone wodą z piaskiem na talerzu, kwitły, rosły i nabierały cudncj barwy lazurowych niebios, widocznie dobrze im było pod troskliwą opieką Janinki, miłującej rośliny, chociaż zakwitały wciąż inne coraz ładniejsze kwiaty, Janinki ulubienicą pozostała stale skromna niezapominajka.

Marja Romualda.

Straszna przygoda lalki.

— Marjanno! Marjanno!—woła dziewięcioletnia Juleczka, unosząc główkę od poduszki. — Spać nie mogę! Czego oni tak hałasują na podwórzu?

— A! to pewnie ten chłopiec stróża i Stasiak stolarzowy—ale i tak pora wstawać panienko—odpowiada służąca i podaje trzewiczki.

— Dobrze, dobrze, zaraz wstanę, tylko chciałabym wpiery zobaczyć tę śliczną lalkę, co wczoraj dostałam od wujenki. Czy Marjanna widziała, jaką ona ma śliczną aksamitną sukienkę? Proszę mi ją przynieść—może leży w stołowym pokoju... albo też w salonie...

Marjanna wyszła, a Juleczka przeciąga się i uśmiecha radośnie myśląc o pięknej lalce.

Z podwórza tymczasem dolatują okrzyki:

— Trzymaj! weź go! daj tu!

— Panienko, nigdzie lalki niema—upewnia powracając Marjanna—szukałam jej wszędzie.

— Ach! prawda, prawda! Spadła mi wczoraj na ziemię; może zapomniałam podnieść i jeszcze leży na dywanie...

— Kiedy ja już sprzątałam, panienko—zmiatałam z dywanów, a lalki nie widziałam.

— Pyf! paf! ha! ha! ha!—śmieją się i krzyczą na dworze, a pokojowy piesek Julci Zefirek coraz głośniejsze szczeka.

— Jacy oni nieznośni!—skarżyła się dziewczynka—pewnie drażnią Zefirka. Zaczyna ją zaciekawiać dlaczego tak się śmieją, ale nakładając trzewiczki mówi:

— Jak ja się cieszę z tej mojej lalki! Czy wie Marjanna jakie jej dam imię?

— Pewnie takie samo, jak ma panienka.

— O, nie! Miałam już Julcię, ale się bardzo prędko popsuła, tej dam Irka, prawda, że ładne imię?

W tej samej chwili krzyki i śmiechy za oknami tak się wzmogły, że Juleczka narzuciwszy sukienkę podbiega z ciekawością do okna.

Boże! co za widok.

Zefirek zziायany, spocony biega jak szalony, trzymając w zębach coś dziwnego; rozbija o bruk asfaltowy i trzęsie z całych sił, a gromadka dzieci ugania się za nim. Co on trzyma?—Czasami miga przed oczami Julci coś... jakby kształt lalki, ale nie jest pewną co to...

Z bocznych drzwi oficyny wyskakuje pudel kudłaty, rzuca się na Zefirka i usiłuje odebrać mu ciekawą zdobycz. Strzępy kolorowej materji fruwają po podwórku. Zefir cofa się po chwili i pudel tryumfuje. Kładzie na ziemi różowe, poszarpane ciało, jakby dziecka małego, wacha... parska i pogardliwie odpycha łapką, oddalając się z powagą.

Dzieci wybuchają nowym śmiechem, a Julcia blednie zgrozą przejęta.

— Marjanno! Marjanno! to moja lalka! moja śliczna lalka! Ratujmy! ratujmy!

Przerażony krzyk dziecka słyszy matka, wpada do pokoju spogląda także w okno i odrazu zrozumiała, co się stało.

— Mamó! mamusiu!—płacze Juleczka—ten obrzydliwy, ten szkaradny Zefir—co on zrobił!...

— Cicho! cicho Julciu,—uspakajała matka—teraz i płacz nie pomoże. Sama jesteś sobie winną. Musiała lalka leżeć na podłodze, a Zefir chciał ci właśnie pokazać, co się robi z rzeczami nieporządných pańienek.

Marjanna wraca z podwórza i kładzie na stole odebraną Zefirkowi lalkę.

Śliczna sukienka poszarpana, brak jednej już rączki, ale co najsmutniejsze: zamiast ładnej, śmiejącej się buzi—w głowie lalki świeci złowrogo okropna dziura.

ST. JUNOSZA.

KROLEWSKI PIERŚCIEN.

Powiastka z czasów Władysława Łokietka.

2. Dziadek.

Przy drewnianym kościołku, na świeżo usypanej mogile klęczał Jędrzek ze swoim rodzeństwem. Oblewali tę mogiłę ukochaną łzami rzewnymi i ciężko im się było z nią rozstać.

Gdy dzieci wyproszone z podwórka sierot zaniósł do wioski wiadomość o zgonie biednej wdowy, litościwi sąsiedzi pośpieszyli z pomocą i zajęli się pogrzebem. Skromny to bardzo był pogrzeb, bo sami biedni na lepszy zdobyć się nie mogli. Przyszedł im z pomocą stary cieśla i trumnę zrobił bez grosza zapłaty, tylko desek mu dostarczono. Ksiądz darmo odprawił nabożeństwo i trumnę nad grobem wodą święconą pokropił. Ludzi sporo się zeszło, dopełniono po chrześcijańsku ostatniej posługi—i każdy w duszy rad był, że się do dzieła miłosierdzia według swej możliwości przyłożył.

Litując się nad sierotami, każda prawie gospodyni kromkę chleba przyniosła, a kilka i takich się znalazło, co nie po-skąpili kaszy i mleka i jaj parę do rąk Jędrkowi wsunęły. Głodu więc na razie nie zaznali, nawet mały Tomek był zadowolony, Jędrus zaś z coraz większym spokojem myślał, że sami żyć będą, że dadzą sobie radę, tem łatwiej iż zima minęła, a w ciepłą porę prędzej można znaleźć pożywienie.

Teraz więc po dopełnieniu smutnych obrzędów pogrzebowych, gdy ludzie rozchodząc się do domów chcieli z sobą zabrać sieroty, Jędrzek oparł się temu i prosił, aby ich tu zostawiono. Mówił, że jeszcze chcą się pomodlić na grobie, a później sami trafią do domu. Nie sprzeciwiano się temu, wszyscy odeszli, obiecując dowiedzieć się o nich koło wieczora albo jutro rano.

— Gdzie my teraz pójdziemy?—spytała Kasia, gdy już

sami pozostali na cmentarzu.

— Do domu pójdziemy, do naszej chaty,—powiedzi Jędrrek.

— A co tam robić będziemy?—zauważyła Józefka.

— Zobaczycie, później wam powiem,—odrzekł Jędrrek, a biorąc Tomka za rękę, dodał:

— No, chodźmy już, jutro tu przyjdziemy znowu i dużo, dużo kwiatów z lasu przyniesiem naszej drogiej matusi.

— Dobrze,—odpowiedziały, dzieci chórem.

Trzymając się za ręce, poszli przez zielone równiny ku swej chacie samotnej, poszli w smutnem milczeniu, z pochylonemi ku ziemi głowami.

— Jędrrek, — ozwał się nagle jakiś głos poza nim, — hej Jędrrek, a gdzie to tak sami wędrujecie?

Obejrzał się Jędrrek. Pod krzakiem olszyny siedział dziadek siwy, zgarbiony, dziadek, którego dobrze znali, bo nieraz do ich chaty zaglądał. Nie mógł on już pracować, nie miał własnego kąta ani zagona, nie miał rodziny, bo wszyscy mu poumierali, chodził więc po świecie i żył z cudzej łaski, z jałmużny, którą mu w chatach bogatszych lub też we dworach podano. Do ubogich domków często zaglądał, ale tam brać nic nie chciał, mówiąc, że dość ma tego, co u bogatszych dostanie, a ich krzywdzić nie myśli, bo wie że sami skąpo chleba mają. On go też miał niewiele, więc nie mógł obdarczać, czasem jednak w wielkiej biedzie niejednemu dopomógł.

A co już wiadomości ciekawych to zawsze przyniósł nie mało, gdyż włócząc się po kraju, do Krakowa nawet nieraz zaglądając, dużo wiedział i słyszał, a potem opowiadał wiejskim ludziom. Gazet bo wtedy nie było wcale, czytać nawet mało kto umiał, od ludzi się zatem dowiadywano o ważniejszych zdarzeniach w kraju i w świecie.

d. c. n

